Nr 32. Kraków, 11 Sierpnia 1894. Rok IV.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.
Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»
Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:
w Krakowie
rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »
z przesyłką pocztową
rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50
kwartalnie — 75

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,
oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

KATEDRA NA WAWELU.

(Ciąg dalszy).

Ostatni ołtarz, o którym w tem miejscu mówić mamy, nosi nazwę ołtarza królowej Jadwigi. Jest to jeden z najwspanialszych ołtarzy naszej Katedry, z którym łączy się niejedno historyczne wspomnienie. Stoi w lewej nawie bocznej obok drzwi do zakrystyi. Wybudowany został w wieku XVII z czarnego marmuru. Zdobią go cztery gładkie kolumny ze złoconemi kapitelami. W górnem zakończeniu ołtarza (tympanonie) błyszczy w płaskorzeźbie pozłocista chusta św. Weroniki, którą podtrzymują anieli. Zagłębienie w środku ołtarza, 7 łokci wysokie a $3\frac{1}{2}$ szerokie, mieści w sobie kamienną rzeźbę z XIV wieku Chrystusa Ukrzyżowanego, słynnego cudami, na tle z blachy srebrnej, bogato w różne desenie kutej, sprawionej kosztem Wojciecha Serebryskiego, kanonika krakowskiego, około r. 1640. Jest tradycya, iż do Jadwigi, córki króla węgierskiego Ludwika, królowej polskiej, modlącej się przed tym krucyfiksem, Chrystus rękę ściągnął i pocieszył ją słowy: „Wysłuchana jest prośba twoja“. I po dziś dzień świadczy Pan Bóg wielkie dobrodziejstwa pokładającym nadzieję na tem miejscu w Jego świętem miłosierdziu, a Stolica Apostolska uprzywilejowała ten ołtarz wybawieniem jednej duszy z czyśca, za którą się Msza przy nim odprawi. Z tych też powodów pobożni przodkowie nasi liczne i kosztowne na tym ołtarzu składali wota, które wśród burz, jakie miotały naszą ojczyzną, wszystkie przepadły; cudownym prawie sposobem ocalało jedno dla nas najdroższe, najmilsze, nieocenione świadek naszej dawnej wielkości, potęgi i sławy: warto o niem słów kilka powiedzieć.



Ołtarz królowej Jadwigi.

Były to dni powszechnej trwogi i przerażenia w całym, chrześcijańskim świecie. Turcy, zawojowawszy całe Węgry — wkroczyli do Austryi i oblegli Wiedeń. Upadek tego miasta groził zalaniem całej Europy przez Muzułmanów, którym wtedy żadna potęga nie byłaby się oparła i krzyż Chrystusa z chrześcijańskich kościołów byłby musiał ustąpić miejsca Mahometowemu półksię

życowi. Aby temu przeszkodzić, szlą posłów i cesarz niemiecki i Papież tam, skąd jeszcze jedyna świeciła nadzieja skutecznej pomocy. Jan III, proszony na klęczkach przez posłów papieskich i cesarskich, zbiera rycerstwo polskie, ktore już od wieków zasłaniało swemi piersiami Europę przed nawałą pogaństwa, i w gorących modłach, odprawianych prawie po wszystkich kościołach Krakowa, skąd w drogę wyruszał, oddawszy się w opiekę Bogu i świętym patronom naszym, wyrusza pod Wiedeń. Wśród trwogi i wyczekiwania odprawiano w całej Polsce czterdziestogodzinne nabożeństwa, prosząc Boga o zwycięstwo. Właśnie w tę samą chwilę, kiedy wśród takiego 40 godzinnego nabożeństwa uroczysta procesya szła z Wawelu do kościoła Najśw. Panny Maryi w Krakowie, w tę chwilę po długim, całodziennym boju rycerstwo polskie złamało zastępy tureckie. Pohańcy pokryli trupami plac boju. Bogaty obóz turecki z nieprzebranemi skarbami i kosztownościami stał się łupem zwycięzców.

Rycerstwo chrześcijańskie padło na kolana i złożywszy dzięki Najwyższemu, spoczęło po krwawym trudzie. Król nasz, który przez cały ten dzień nie miał w ustach ani jedzenia, ani napoju i upadał ze strudzenia, wydawszy ostatnie wojsku rozkazy, zsiadł z konia, aby odpocząć. Zerwano jeden z namiotów i rozesłano go pod starym, rozłożystym dębem. Wraz z królem był i królewicz równie jak ojciec zgłodniały i strudzony, nieodstępny jego towarzysz we wszystkich niebezpieczeństwach. W tej chwili stawił się przed wielkim naszym królem jeden z oficerów naszego wojska Francuz, nazwiskiem Dupont (czyta się Dypon), któremu król rozkazal być gotowym do drogi, aby królowej i narodowi zawieść wiadomość o odniesionem zwycięstwie. Niebawem pod to drzewo przyszli do króla książę Lotaryński, elektorowie bawarski i saski i inni książęta niemieccy i jenerałowie, którzy ze swymi hufcami pospieszyli na odsiecz Wiedniowi i pod wodzą naszego króla walczyli. Tu zaspokoiwszy głód i pragnienie, przepędzili noc całą na pogadance o wypadkach, jakie się komu przydarzyły podczas walki.

Wśród tego przyprowadzono królowi Polaków zbiegłych z niewoli od Turka. Jeden z nich złożył królowi w darze jedno ze strzemion Wielkiego Wezyra oderwane, kiedy wśród ucieczki przesiadał się na innego konia. Otóż gdy Dupont stanął przed królem, prosząc o rozkazy, z czem ma jechać do Krakowa, rzekł mu król: „Powiedz królowej, że czas i miejsce nie po temu, abym mógł pisać do niej; dodaj, że proszę, by przypomniała sobie, że posłannik mój, wysłany niegdyś z pod Chocima, również nie miał listu ode mnie, tylko jej był przywiózł ową wytworną skrzyneczkę zdobytą na znak pogromu nieprzyjaciela. W tej chwili nie mam nic innego jak tylko to strzemię; oddaj je więc królowej. Twierdzą, że służyło ono temu, który nadaremnie trudził się, aby opanować Wiedeń“.

W poniedziałek dnia 13 września 1683 r. z brzaskiem dnia wyjechał Dupont z obozu. Po trzech dniach i nocach we czwartek rano o godzinie 7 stanął w Krakowa i podążył wprost na Zamek. Królowa była już w kościele. Wieść o jego przybyciu lotem błyskawicy przebiegła całe miasto. Kto żył, biegł na Zamek, aby usłyszeć, jaką wiadomość przynosi. Msza właśnie była

Jak mi się wiodło w Warszawie?

(Dokończenie).

Słyszałem ja dawno o teatrze, lecz raz tylko w nim byłem, i to wtedy, gdy do naszego miasteczka zajechało dwunastu komedyjantów. Ubawiłem się też wtedy wybornie, aż mi łzy lały się od śmiechu. Bo to wystaw sobie mój Mości, poprzebierali się w płaszczyki czarne aksamitne; kobiety miały korony z papieru na głowie, i dopiero się sobie oświadczali, tytułując się królewnemi i hrabiami. Jeden zaś z nich (pamiętam go, bo miał wytarty kapelusz z koguciem piórem) oświadczył się tej damie w koronie. Klęczał przed nią i przysięgał, że ją kocha — aż tu wpada drugi z dobytą szpadą (tylko, że była drewniana) i przebija go w same piersi. Dama mdleje, okrutnik jednak jak na domiar złości, kopnął ją, mówiąc: „wiarołomna!“ Sąsiedzi moi bo płakali, pani Józefowej nawet jak potem opowiadała — śnił się ciągle ten okrutnik ze szpadą; ale co ja, to się tylko śmiałem. U was tu jednak musi być piękny teatr i nietacy wyszarzani rycerze — więc chciałem to zobaczyć.

Idę przeto — a o drogę ciągle pytam. Powiadam ci panie, żebyś może nie wierzył, że ja półtory godziny chodziłem po tych ulicach, które właśnie okalały sam teatr, nic o tem nie wiedząc. Pyta mi się przy kasie.

— Jakiż pan chcesz bilet?

— A gdzie?

— Jakto gdzie? — mówię przecie, że do teatru!

— Czy do krzeseł?

— Naturalnie, bom zawsze przywykł siedzieć w krześle.

Dałem mu rubla, kazał mi jeszcze dopłacić.

Pytam się go, którędy to mam iść.

Powiada mi — w drugiej bramie.

Błądzę i błądzę — na szczęście dowiedziałem się, że to dopiero o 7 ej początek — a czemuż mi tego kanalia zaraz nie powiedział?

Do 7 ej jeszcze wielki czas — co tu robić? — Ha — trzeba trochę miasto zwiedzić, lecz że go wcale nie znałem, pytam się znów jakiegoś przechodnia.

wyszła do ołtarza Chrystusa Ukrzyżowanego, o którym właśnie mowa. Dupont, wpadłszy do kościoła, nie mogąc ze wzruszenia głosu wydobyć, podniósł w górę wobec wszystkich strzemię Wezyra, dając przez to poznać, jaką wieść przywozi. Królowa, nie zrozumiawszy tego znaku, myśląc, że król poległ, a tylko strzemię po nim przynosi, krzyknęła boleśnie. Wtedy Dupont „Zwyciężyliśmy“ zawołał. Królowa i zgromadzeni padli na twarz, dziękując Bogu za zwycięstwo. Ksiądz ze łzami w oczach, drżącym od wzruszenia głosem zaintonował „Te Deum laudamus“, które po tem wiekopomnem zwycięstwie, co piersiami polskiemi oswobodziło cały świat od niewoli tureckiej, tu przed tym ołtarzem po raz pierwszy na polskiej ziemi odśpiewano.

Zanim się Msza skończyła, przypomniała sobie królowa, że jej Dupont nie oddał żadnego listu od króla. Wtedy wręczył jej strzemię Wezyra, które tam zaraz jako wotum za tak wielką łaskę Bożą u stóp Ukrzyżowanego zawiesiła.

Strzemię to jest srebrne, pozłociste, ozdobione wyrzynanemi floresami i osadzonemi po bokach szesnastoma małemi turkusikami. Na wstędze pergaminowej, przywiązanej do strzemienia sznurkiem jedwabnym jest napis prawdopodobnie własnoręczny Jana III: „Ten, którego noga była w tem strzemieniu, za łaską Boga jest zwyciężony“.

Długie lata wisiało ono, gdzie je w dniu 16-go września 1683 r. zawieszono. W końcu zeszłego stulecia dostało się do Puław, gdzie książęta Czartoryscy zgromadzali najciekawsze pamiątki polskie i ta może okoliczność uratowała je od zatraty. Dopiero w dwóchsetletnią rocznicę odsieczy wiedeńskiej 12-go września 1883 r. zwrócił je i na dawnem miejscu zawiesić kazał książę Czartoryski, gdzie je po dziś dzień można oglądać. Ciężkiego zaniedbania dopuściłby się ten, kto, zwiedzając naszą Katedrę, odszedłby, nie zobaczywszy tej pamiątki naszej dawnej wielkości i sławy!

(C. d. n.)

Poświęcenie kaplicy św. Kunegundy w Bochni.

„Ten ci jest dzień, który uczynił Pan“.

Te słowa Psalmisty Pańskiego mogą zaiste powtórzyć wszyscy mieszkańcy Bochni o dniu wczorajszym. Dnia tego bowiem odbyło się uroczyste poświęcenie świeżo odrestaurowanej kaplicy św. Kunegundy w kościele parafialnym kosztem i staraniem nie tylko całej parafii bocheńskiej, ale prawie kraju całego. Ciężkie to i wcale niełatwe było przedsięwzięcie, dla kosztów, których wymagało, i dla tysiącznych przeciwności, narzucających się na każdym kroku. Dlatego to dzień, w którym ujrzeliśmy wreszcie to dzieło ukończone, te wszystkie trudności, tamujące postęp pracy, zwalczone i usunięte, jest dla wszystkich parafian tutejszych tak miły, drogi i głęboko zapisze się w duszy każdego. Może niejednemu z Czytelników wyda się trochę dziwną lub nawet przesadzoną ta nadzwyczajna radość nasza z powodu odrestaurowania kapliczki. Wszak dzieje się to prawie wszędzie — powie może kto — a restauracya nie jest znowu taką nadzwyczajną rzeczą i jej ukończenie tak wielkim tryumfem. Gdyby kto tak my-

---

— Łaskawy panie, a co tu w Warszawie robicie w niedzielę?

— Co się komu podoba! — odpowiada mi, nie czekając. „Gbur“, pomyślałem, czy to odpowiedź? i idę dalej za ludźmi, których się dużo tłoczyło w jedną stronę. Pytam, a gdzie to tak wszyscy biegną? — Do ogrodu Saskiego!

Aha, trza i mnie tam podążyć.

Nie ma co mówić — jakem okiem zmierzył, ogród długi i piękny, tylkom zaraz spostrzegł, że nieużyteczny, bo nawet niema owocowych drzewin.

Dochodzę do bramki, zastępuje mi drogę, dalibóg dziki jakiś człowiek, niby murzyn a niby cygan, w chustce białej na głowie, w niebieskiem odziewadle, z kosturem w ręku. Zastępuje mi formalnie — czego on chce? — pytam trochę przestraszony.

— Trzeba zapłacić — powiada ktoś z boku.

Patrz-że Mości Dobrodzieju! musiałem dać 40 groszy! Alem miał widzieć za to arabskie hece, i ten, co mi drogę zastąpił, to także był Arab.

— No — dobra gratka! — zobaczę i dzikich po drodze, sunę więc naprzód.

Wysypało się osób co nie miara, i niewiast sporo a co jedna to ładniejsza od drugiej — a jakie postrojone! jakie atłasy, muśliny i jedwabie! No, no! myślę sobie — miasto nie na żarty! Byłbym się może trochę i zagapił, bo to człowiek choć starszy, ale niewiastom pięknym przypatrywać się lubi; tylko żem znowu tych dzikich chciał widzieć. Po drodze zaś ciągle słyszę:

— Będą skakać przez bagnety!

— Fiu, fiu! co za głupstwo, tak się narażać, ale to już widać, za to im płacą.

Pcham się więc, bo się i inni pchają, wyciągam na palcach, bo i inni toż samo robią.

Aż gdym się dobrze wpatrzył, widzę, jak jeden w białej koszuli hyc, przeskoczył tak wysoko, jak pół piętra, a co najokropniejsza, przeskoczył przez drugich pięciu. Jabym tego nie potrafił. Niedługo znowu stanęło ich ośmiu na jednym człowieku i różne mu figury wyprawiali na łbie. — O! co tego — tobym sobie nigdy nie dał robić. A nuż się kark złamie, albo czaszka

ślał, nie możnaby mu odmówić pewnej słuszności. Już rzecz sama, restauracya, nie jest bez wątpienia obojętna, ale cel, w jakim ją podjęto, intencya, z której to przedsięwzięcie wypłynęło, warunki, wśród których się dokonywało, to wszystko podnosi rzecz samą, uświęca ją, a pomyślne uwieńczenie pracy napawa wszystkich, którzy w niej jakikolwiek brali udział, wielką, błogą radością, a przeświadczenie, że dokonali dzieła pobożnego, że spełnili obowiązek tak piękny i szczytny, potęguje jeszcze to uczucie. Dlatego i ja chwyciłem za pióro, by się z temi wrażeniami, które napawają nam serca, podzielić z szerszem kołem Czytelników, a gdy zechcą posłuchać dziejów i całego przebiegu tej sprawy, spodziewam się, że uznają naszą radość za uzasadnioną, za płynącą z głębi czystego sumienia, rozradowanego, bo spełniło piękny obowiązek.

Wiadomą jest rzeczą kochanym Czytelnikom, że św. Kunegunda, której czci poświęcona jest nasza kaplica, była żoną króla polskiego Bolesława V, którego dla nieskazitelnego i pobożnego życia nazwano Wstydliwym. Po śmierci swego męża schroniła się św. Kunegunda do klasztoru, przez siebie w Nowym Sączu wybudowanego, i tu świadcząc całej okolicy niezliczone dobrodziejstwa, dokonała swego życia dnia 24 lipca 1292 roku, czczona już za życia, jako święta. Ojciec św. Aleksander VIII policzył Kunegundę w poczet Świętych, a Klemens XI ogłosił ją za szczególniejszą patronkę naszej Ojczyzny, polecając tym sposobem Jej i opiece i modlitwie losy nieszczęśliwego kraju, który Ona za życia tak bardzo ukochała i dla miłości którego wiele poświęcała i cierpiała.

To jest powód jeden szczególniejszej czci, do jakiej zobowiązani jesteśmy dla św. Kunegundy, a jest jeszcze inny. Św. Kunegunda jest także patronką górników i opiekunką górnictwa wogóle, bo ona, przybywszy do kraju naszego i zostawszy żoną króla polskiego, otoczyła szczególniejszą troskliwością górnictwo. Ona ulepszyła i udoskonaliła stare szyby; nowe kopać kazała. Między innemi i w Bochni, gdzie już przed Nią sól znano i wydobywano, Ona dopiero bocheńskie żupy udoskonaliła, górnikom zabezpieczyła lepszy byt i pewniejszą przyszłość. Dlatego to, dla tych wszystkich dobrodziejstw, o których tu dłużej rozwodzić się nie mogę, naród cały czcił po wszystkie czasy św. Kunegundę, jako swoją opiekunkę i własną patronkę, i dlatego przed dwoma laty tak uroczyście obchodzono 600-letnią rocznicę jej śmierci.

I my też w Bochni, łącząc nasze korne modły z chórem błagań, które zanosił wówczas do św. Opiekunki cały naród, obchodzili nabożnie i z uroczystością, na jaką się tylko mogli zdobyć, tak wzniosłą pamiątkę, mając do wdzięczności ku św. Kunegundzie tyle powodów. I wówczas to powstała w głowie naszego proboszcza, Przewielebnego X. Kanonika Lipińskiego, myśl, by mocno zniszczoną kaplicę św. Kunegundy z wdzięczności dla Niej i dla zaskarbienia Jej łaski i opieki odnowić i uczynić z niej godny przybytek św. Królowej. Nie zwlekając też, zabrał się ten niestrudzony, gdzie chodzi o chwałę Bożą, kapłan do dzieła. Za jego staraniem i zabiegami utworzył się komitet z miejscowego obywatelstwa złożony, z p. Serafińskim, naszym burmistrzem, na czele i sprawa weszła na poważne

---

pęknie i już nagle po człowieku, bez wszelkiego przygotowania do śmierci. Przypomniało mi się jednak, że to dzicy, to tam u nich o religię mniejsza.

Jakem sobie to dobrze rozważył, tak mi się i widowisko zmierziło — i chciałem się wydostać na świeże powietrze, bo chociaż to ogród, ale co świeżego powietrza, to tam, daruj mój Mości, nie wiele.

Takem się też i wydostał w to miejsce, gdzie woda bije w górę wysoko i promieniami spada napowrót. To mi się podobało — ochłodziłem się też trochę przy tej świeżości i nawet miałem już wielką ochotę napić się choćby garścią tej wody. Ławka politurowana stała tuż obok. Siadłem z przyjemnością, wyciągnąwszy znużone nogi. Trochę mi się przykrzyło, że nie mam towarzystwa, aż tu niedługo siada przy mnie trzech paniczów — każdy z nich patrzał się przez szkiełka, a nic niepodobne do okularów. Ładne chłopaki, ani słowa, tyle tylko, że mi czegoś mizernie wyglądali.

Pogadali i poszli.

Poszedłem i ja do teatru.

Nie będę opowiadał, ilu mnie naszturchało, napukało, nim się dostałem do mego miejsca; krzesło dali mi wązkie, w całem tego słowa znaczeniu — a od lampy takie biło na mnie gorąco, że myślałem już chyba ducha wyzionąć.

Aż tu i muzyka zagrała wcale przyjemnie i wesoło, potem zaś podnieśli kurtynę i zaczęli śpiewać. Na afiszu stało: „Orfeusz w piekle". Pogańska to sztuka jakaś — bożki różne naśmiewają się z siebie nieprzystojnie. Posiedziałem też z godzinę, a gdy mi się już i mdło robiło z gorąca, wyniosłem się jak mogłem najniespostrzeżeniej.

Nazajutrz wyjechałem, nie złapiecie mnie już więcej. A na co mi wielkiego miasta? Drą ze skóry za byle co, za podanie prostej szklanki wody; gorąco okrutne, zamiast jedzenia dają książki, spytać się o co, to pokpiewają, a mnie na co tego wszystkiego? Zdrów Waszmość? i ja wolę być zdrowym na mojej Pińszczyznie!

Ed. Lubowski.

tory. Uproszony przez komitet ś. p. nasz mistrz Jan Matejko przybył osobiście i to kilkakrotnie do Bochni, obejrzał kaplicę i zobowiązał się z całą gotowością zająć restauracyą i pokierowaniem robotą i co najważniejsza, dać nam obraz św. Kunegundy własnego pędzla. Niestety przedwczesna śmierć, która tak niespodziewanie przecięła pasmo jego pięknego żywota, nie dozwoliła mu spełnić tej ostatniej obietnicy. Mimo to według jego planów i wskazówek p. radca Stryjeński dokonał odnowienia, a obraz św. Patronki wymalował uczeń Matejki p. Bosowski. Największą trudnością, która odrazu i pierwsza zaciężyła nad sprawą, był — jak się każdy domyśli — brak odpowiednich funduszów. Ale i tę najpoważniejszą przeszkodę zdolała usunąć energia komitetu i godna uznania i naśladowania ofiarność nie tylko całej parafii, ale nawet ludzi, którzy z dalekich nieraz bardzo stron kraju, hojnie nadsyłali datki. Wszyscy i bogaci i najubożsi i prywatne instytucye i kraj nawet, wszyscy przykładali gorliwie wedle możności rękę do dzieła, dorzucali grosz swój na ten święty cel. To też robota postępowała raźno i już z wiosną rzecz była prawie zupełnie ukończona, a dnia 29 lipca b. r., jako w dzień św. Kunegundy, dokonał X. Proboszcz poświęcenia.

Jakby na powitanie tak uroczystego dnia już wczesnym rankiem odegrała salinarna muzyka z wieży kościelnej nabożne pieśni, poczem o 9 godzinie po dokonaniu poświęcenia Przewielebny X. Proboszcz wypowiedział kazanie, którego każe słowo tchnęło radością z szczęśliwie dokonanego dzieła i wdzięcznością głęboką dla Boga za łaskę i pomoc w tej pracy. Mowca rozpoczął kazanie od wezwania do św. Kunegundy, które widnieje wypisane na murze odnowionej kaplicy: „Bądź pozdrowiona Oblubienico Chrystusa, Błogosławiona Dziewico Kunegundo, Patronko nasza najmiłościwsza, Pani i Opiekunko, synów Twoich i służebnice Twoje racz ofiarować Bogu z całą koroną polską. Amen“. Potem opowiedział w krótkich słowach dzieje i przebieg całej budowy, zaznaczył i podniósł wielką ofiarność wszystkich i życzliwość dla dzieła, dzięki której nie tylko fundusze potrzebne na restauracyę są już zebrane, ale jeszcze po ostatniem obliczeniu zostało nieco pieniędzy na inne pomniejsze a niezbędne restauracye. W końcu zachęcał gorącemi słowy, byśmy nigdy nie ustawali w modłach do tej św. Patronki naszej, polecali zawsze siebie i naszą nieszczęśliwą Ojczyznę Jej św. opiece, starali się Ją naśladować we wszystkich cnotach, które zdobiły Ją za życia i zjednały Jej po śmierci koronę świętą. W takim tylko razie możemy się spodziewać Jej łask i dowodów opieki. Po kazaniu odprawił mowca Mszę św., ofiarując Ją za wszystkich, którzy się czemkolwiek do budowy przyczynili. O 11-ej odprawiła się znowu uroczysta Suma z procesyą, na której wypowiedział piękne, pełne głębokich myśli i prawd kazanie X. Piaskowy, proboszcz z Brzeźnicy. Po nabożeństwie odbył się obiad na plebanii, w ktorym wzięli udział oprócz Duchowieństwa przedstawiciele władz i instytucyj miejscowych. Podczas obiadu nadszedł telegram od *Krakusa* z powinszowaniem dokonanego dzieła i życzeniami dla całego Duchowieństwa. Przyjęto go też z wielką radością i ogolną sympatyą.

Tak, dzięki niestrudzonej i podziwienia godnej gorliwości i hojności Przewielebnego X. Kanonika i p. Serafińskiego, który nie tylko energicznie kierował krokami komitetu, ale sam świecił i pociągał przykładem, dokładając na ten cel sporo swego grosza, i dzięki zapałowi do tej sprawy całej parafii, mamy godny przybytek dla Swej Opiekunki, którą nie przestaniemy nigdy gorąco, z duszy i serca błagać o zmiłowanie się nad nami i o łaskawe wstawienie się za naszą udręczoną Ojczyzną. I mamy w Bogu i Jego św. Oblubienicy nadzieję, że się kiedyś nad nami zlituje i wróci potomki nasze do ziemi ojców naszych, która przez wieki swego niepodległego życia odbierała tyle dowodów Jego opieki i błogosławieństwa. Spraw to wielki Boże!

Janko z nad Bochni.

Z Wystawy.

Od lat pięćdziesięciu weszły w modę wystawy na całym świecie. Urządzają je od czasu do czazu narody całe, kraje, a nawet powiaty. Celem takiej wystawy jest pokazać, co naród ma i jak daleko postąpił we wszystkich gałęziach pracy fizycznej i umysłowej. Zwiedzając taką wystawę, krajowiec poznaje, co jego narodowi jeszcze brakuje, do czego sił dołożyć, żeby się to rozwinęło, a cudzoziemiec zaś porównuje swój kraj z tem, co tu widzi i ocenia, czy ta lub owa gałąź pracy tutaj lepiej rozwinięta, aniżeli w jego ojczyźnie. Wystawy są więc bardzo pouczające, a jeszcze i to mają do siebie, że po takiem pouczeniu różne gałęzie pracy szybciej się rozwijają, a bywa i to, że zagraniczni ludzie, poznawszy u drugiego narodu coś dobrego, sprowadzają to do siebie, przez co rozwija się handel i ten kraj, z którego się towary bierze, rośnie w zamożność. Często znowu swojski człowiek, który to lub owo z zagranicy sprowadzał i pieniądze tam dawał, widząc na wystawie, że to samo i to jeszcze w lepszym gatunku, a może i taniej, u nas wyrabiają, zaprzestaje sprowadzać tych towarów z zagranicy. Przemysłowiec swojski na tem zyskuje, a i kraj cały, bo pieniądze nie idą za granicę na obcych ludzi.

Takie różne są korzyści z wystawy, więc nic dziwnego, że i nasz kraj, idąc za przykładem innych, wystawę u siebie urządził. Wystawę tę widział *Krakus* już dwukrotnie i musi powiedzieć, że się doskonale

udała. Znaczy to, że biedny nasz kraj zgromadził tam wszystko, co tylko ma najlepszego i pokazał całemu światu, że stosownie do sił i zasobów, jakie posiada, pracuje i nie potrzebuje się w wielu rzeczach nikogo wstydzić.

Kto wie, jak to u nas trudno, cokolwiekbądź do skutku doprowadzić, a nie dopiero taką wielką rzecz; ten spojrzawszy tylko na naszą wystawę, pochyli czoło najpierw przed tymi ludźmi, którzy to dzieło stworzyli. Należy się to przedewszystkiem posłowi Zdzisławowi Marchwickiemu, dyrektorowi wystawy, hr. Józefowi Łubieńskiemu, technicznemu wykonawcy dzieła, księciu Adamowi Sapieże, prezesowi, a nie mniej hr. Stanisławi Badeniemu i jego bratu Namiestnikowi, który to dzieło niezmordowaną otaczał pomocą.

Wystawę urządzono poza miastem, na wyniosłem wzgórzu, skąd cały *Lwów* widzi się jak na dłoni. Miejsce wspaniałe, niktby lepszego nie znalazł. Wszedłszy prze piękną bramę, spostrzega się mnóstwo budynków po obu stronach głównej drogi. Każdy z nich inaczej wygląda, a są to albo tak zwane *pawilony* czyli domy, w których mieszczą się przedmioty wystawowe, albo też tu i owdzie *restauracye*, gdzie człowiek spocząć i pożywić się może.

Wszystko bardzo mądrze rozmieszczone. Zaraz przy wejściu po prawej ręce pawilon sztuki, pawilon Matejkowski, pawilon architektury. Tu jest się czemu napatrzeć i Polakowi serce rośnie, bo sztuka nasza, a zwłaszcza malarstwo to rzecz, która nas stawia w pierwszym rzędzie między najoświeceńszymi narodami. Na lewo pawilon księgarski. I tutaj człowiek książkowy z pociechą na wszystko patrzy. Księgarze powystawiali tu to, co wydali: jest to przeważnie ta literatura, co daje człowiekowi ogólną oświatę. Rzeczy tych mamy wiele, a dość przypomnieć takich pisarzy, jak Kochanowski, Mickiewicz, Sienkiewicz, ażeby sobie pomyśleć, że w sztuce pisarskiej, jak malarskiej, jesteśmy między pierwszymi. W nauce stoimy poza Anglikami, Francuzami i Niemcami, ale nic dziwnego. Nauki rozwinęły się w tym wieku najwięcej, a my właśnie straciliśmy w tym czasie niepodległość i nie mogliśmy rozwijać się samodzielnie i spokojnie. Jak zaś umiemy korzystać ze sposobnej chwili, okazują to wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie, które w tym pawilonie są również umieszczone. Z dumą można na to wszystko patrzeć i z uznaniem pochylić czoło przed tą instytucyą, a nie mniej przed prof. Smolką, sekretarzem Akademii, który z takim trudem i z taką umiejętnością rozłożył przed zwiedzającymi tyle prac naukowych, a zarazem dał obraz całego ruchu piśmiennictwa naszego od stu lat. Pokazuje się z tego, że od r. 1794 do 1814 wyszło dzieł polskich sześć tysięcy, a od r. 1815 do 1893 przeszło siedmdziesiąt pięć tysięcy, ogółem zaś wyszło w tych stu latach ośmdziesiąt jeden tysięcy czterysta dziesięć dzieł polskich.

Poza pawilonem księgarskim mamy pawilon, w którym mieści się uzmysłowienie za pomocą obrazu czyli tak zwana *panorama bitwy Racławickiej*, w której Kościuszko z Krakusami tak sławną dał Moskalom naukę. Ta rzecz opisać się nie da, to trzeba koniecznie widzieć, żeby należycie ocenić. Tyle tylko *Krakus* może powiedzieć, że czegoś podobnego nigdzie nie widział, choć wiele krajów zjeździł.

Wszystkich pawilonów opisywać trudno, zajmiemy się tylko temi, które rolników i rzemieślników najbardziej mogą interesować, ale to uczynimy już w następnych numerach.

Kuba i Marek
o stajniach włościańskich.

K. Po domach mieszkalnych bardzo ważną rzeczą są stajnie.

M. Dlaczegóż znów tak bardzo ważne?

K. Bo w stajniach przechowujemy nasze kapitały.

M. O! kapitały bym ta w stajni przechowywał? Gdybym miał jaki kapitalik, tobym go pod beczkę w komorze schował albo za łatę na strychu, by myszy nie dostały.

K. Są kapitały martwe — gotówka, które możecie i w starym sadle jak Wójtowicz przechowywać, ale kapitały żywe, jak nasze zwierzęta domowe, to chyba tylko w uczciwych stajniach. Nazywam je kapitałem, bo te nas utrzymują, pensye nam za prace nasze płacą. W dzisiejszych czasach, kiedy zboże tak potaniało, że się koło niego nawet robota nam nie opłaca, skąd wziąść na podatek, skąd na ubranie, skąd na parobka i dziewkę i t. d.? Jedyna nadzieja w gadzince. Pojmiesz, gdy masz na tyle, wyprowadzisz na jarmark i masz pieniądz gotowy. Czyż zatem nie jest to kapitał bardzo wdzięczny? Czyż nie opłaca się chodzić koło niego i starać się, by nam go nigdy nie brakło? Czyż nie powinniśmy ten dar Boski otoczyć lepszą opieką i troskliwością, hę?

M. Dyć bardzo słusznie mówicie, bo akurat na gadzinkę dziś wszystko patrzy, a tak nas bieda ściga, że ani wieprzka nie zabijesz i jałowo jeść musisz, bo wszystko trzeba wyprowadzić na te rozmaite wydyrchoły.

K. To też pomyślmy o tem, żebyśmy coraz więcej i coraz lepsze czyli gatunkowe bydło mieli, bo inaczej to nas inne kraje i w tem podsiędą, jak nas we zbożu Węgry i Moskale utrącili! Nasze bydło i świnie nie mają oka na jarmarkach grubych, n. p. we Wiedniu, bo mówią, że są niezdrowe. Do Prus też nie chcą bydła z Galicyi, bo się im mięso nie bardzo po-

doba z galicyjskiego bydła. I nie dziwmy się. Chowamy bydło kiepsko, nie dajemy mu należytej opieki, jakiej potrzebuje. A co przedewszystkiem dziś chcę naznaczyć, sami go zabijamy naszemi stajniami, któreby raczej jaskiniami dla wilków drapieżnych nazwać można. Biedne zwierzęta stoją zamknięte w największym zaduchu, w ciemnościach, jakby jakie zbrodniarze i rzadko która lepsza, gatunkowa sztuka potrafi zdrowo w tych jaskiniach przezimować. Stąd tyle chorób pomiędzy naszem bydłem, czego w innych krajach nie znają. Stąd tyle pomietań między krowami, ślepoty między koniami, zarazy wśród trzody i t. p. Inaczej być nie może! Brak światła i świeżego powietrza a przytem wilgoć bardzo sprzyja owym grzybkom czyli „mikrobom“, które rozmaite choroby wytwarzają.

M. Ehę — to ja już widzę, że znów do tego ciągniecie, co i chałupach naszych opowiadaliście, żeby w stajniach dać wielkie okna — może jeszcze dubeltowe, hę?

K. Dubeltowe być nie potrzebują, ani tak wielkie jak u chałup, bo koń i krowa czytać i pisać nie będzie. Ale potrzebne są i muszą być takie okna, by w stajni było widno, by tam promienie słoneczne miały przystęp, bo one są koniecznie potrzebne do wzrostu bydła i do wyrobienia dobrego oka u koni, bez którego one nie mają wartości. Słońce, jak wam już dawniej wspominałem, zabija swą jasnością te rozmaite zarazki, które się koło bydła kręcą, aby go pomordować. Stąd żałować bydłu tego daru Boskiego, to grzech gospodarski niemały! Bez światła nawet roślina nie ma zapachu, ani koloru. Zwierzę bez światła mizernieje. Krowa w ciemnej stajni traci mleko i to, co daje w ciemnej stajni, nie jest zdrowe. Koń w ciemnej stajni psuje oczy i pewnie wcześniej czy później oślepnie. Cielęta i świnie bez światła nie wzrastają się dobrze w mięso. Ciemność sprzyja tylko tyciu. Stąd ciemnej stajni używa się tylko, kiedy się tuczy woły lub świnie, by tłuszczu więcej miały — przy czem nadmieniam, że nigdy świeżego powietrza a dla tłustych wołów i świń chłodnego brakować nie powinno.

M. A to ciekawe rzeczy słyszę, że krowa w ciemnej stajni mleko, koń oczy traci, cielęta nie rosną dobrze — ho, ho, ho! Skąd wy to wiecie i czy wy zaś nie cyganicie?

K. To, co wam opowiadam, czytałem w książkach, słyszałem od pana dziedzica we dworze i sam już cztery lata próby robiłem i mocno się o tem przekonałem.

M. No to jakże urządzić te stajnie, żeby bydło i dobrze rosło i zdrowe było i żeby mu powietrza ani światła nie brakowało?

K. Stajnią samą wprawdzie nie wyżyje, ani mu to do zdrowia nie wystarczy, jednakże nie małej jest wagi. Jak macie stajnię stawiać, obierzcie miejsce suche, podmurujcie zdołu, żeby ściany od nawozu nie gniły. Plac wybierzcie blizko obory, żeby nawóz było dogodnie wyrzucać i drzwi od strony obory, żeby bydło przechodziło przez oborę i nawóz tłoczyło. Okna najlepiej urządzić w tej ścianie, do której zwierzęta stoją głowami, bo światło dostaje się wprost do oczów. Taż i człowiek zawsze do światła się oczami obraca, latarnię przed sobą niesie lub lampę przed sobą stawia. Ponieważ zaś w tej ścianie są żłoby i drabiny, stąd mało jest miejsca na okna, więc zrobić je trzeba w ścianie bocznej a nie tylnej. Dla końskich oczów jest szkodliwę, jeżeli światło z tyłu pada w jego oczy. Ponieważ okna się otwiera, albo na lato odejmuje zupełnie, żeby w stajni było dosyć świeżego powietrza, to trzeba uważać, żeby zaś przeciągu nie było, bo ten szkodzi bydłu. Z przeciągu czyli zawiania dostają konie kurczu w nogach, krowy może porazić. Stąd też i to jest chybka wielka, jeżeli w stajniach jest więcej drzwi zwłaszcza naprzeciw siebie stawianych. Jeżeli potrzeba wam w stajni drugich drzwi n. p. do wyrzucania nawozu na oborę, gdy ta jest w tyle, to zróbcie drzwi kryte, niewielkie, które się otworzy tylko do wyrzucania nawozu. Drugą bardzo ważną rzeczą jest świeże powietrze, którego nie może brakować a trudno o niego dlatego, że w stajni również nawóz robimy. Aby go nie brakło, potrzeba, żeby stajnie były wysokie, a w powale powinny być porobione lufta czyli kominki, któreby aż na dach wychodziły.

M. Po cóż aż na dach, mogą na strych wychodzić.

K. Mogą wprawdzie, ale nie będzie silniejszego ciągu powietrza, przeto para i zaduch mało odchodzi. Na strych parę wyprowadzać byłoby niemądrze. Para bowiem i gorąco ze stajni wychodzące zniszczyłoby wiązania i strzechę bardzo prędko. Na stajniach zresztą przechowujemy słomę, siano, toby się nam od pary ze stajni idącej zepsuło i zgnoiło; przeto na strych stajni para czyli puch ze stajni nie powinna wychodzić. Owszem górę czyli powałę trzeba zalepić lub ziemią ubić, żeby było w zimie ciepło i żeby w razie pożaru bydło uratować można.

M. Ta, po co te parniki? Przecie mogę drzwi otwierać i będzie czyste powietrze wchodzić, a parę i zaduch wygoni ze stajni?

K. Można, ale nie zawsze i nie wszędzie. W zimie n. p. nie byłoby to dobre. Stajnia by się prędko oziąbiła nagle, a gdy znów zawrzemy, to gorąco. Taka nagła zmiana ciepłoty jest bardzo niezdrowa. Człowiek gdy z ciepłej izby nagle wyleci na mróz lub z zimna do gorąca, dostanie rymy czyli kataru, albo zapalenia gardła, oczów, płuc i t. p. Tak samo i u zwierząt nagła zmiana ciepłoty sprawia zołzy, zochwacenie, zapalenie stawów i t. p. W końcu i z tego powodu nie dobrze jest otwierać drzwi, że zaraz kury się pchają do stajni, gdzie wcale nie są pożądane. Kury zanieczy-

szczają żłoby, paszę, co bardzo bydłu szkodzi i jeść też nie chce. Gdy zaś w stajni kury dłuższy czas przebywają lub tam się gnieżdżą, paprzą, to zarażają bydło rozmaitą, drobną gadziną, która się w piersiach kur chowa, i ta u bydła sprawia dużo szkody i trudno się jej pozbyć. To zaś u nas tem łatwiej stać się może, że nam się nie chce regularnie zwierząt czyścić, pucować, myć, na czem dużo tracimy. Czyszczenie zwierzęcia zgrzebłem i szczotką dopomaga bardzo do trawienia. Koń lepiej zaraz wygląda, krowa więcej da mleka, cielę lepiej i prędzej rośnie — słowem regularne czesanie zwierząt jest tak ważne, jak regularne zadawanie paszy. Jeszczeby wam trzeba o dylach i o nawozie w stajniach coś powiedzieć, ale na dziś byłoby za dużo, przeto odłóżmy sobie na drugi raz — idźcie już spać.

Wspomnienia z życia Kościuszki.

> I wysunął się Kościuszko
> Na przodek szeregu
> I zawołał . . . .
> . . . .
> My tu bracia, na swej ziemi,
> Ziemia to krakowska,
> Nasza Polska i nasz krzyż ten
> I rola ojcowska.
>
> *Lenartowicz.*

Najdzielniejszy bohater, najszlachetniejszy obywatel, najmiłosierniejszy opiekun ubogich, najżyczliwszy dla polskiego ludu Polak, był bezsprzecznie Tadeusz Kościuszko. To też imię jego słynie na całej ziemi polskiej między polskim ludem najgłośniej i słynąć nie przestanie aż do końca świata; chwalić i wielbić będą ś. p. Tadeusza Kościuszkę wszystkie pokolenia.

W Szwajcaryi, gdzie nasz bohater po przebytem więzieniu w lochach moskiewskich i po ciężkiej chorobie z sześciu ran, w bitwie pod Maciejowicami w głowę odniesionych, jeszcze się nie opatrzył i nie wyleczył — a już przesyłał do niego ówczesny cesarz Francuzów, Napoleon I, różnych wojskowych i świeckich przeszpiegów, ażeby przyjął u niego w jego wojsku, gdzie wtenczas tysiące Polaków służyło, stopień jeneralski i obiecywał mu za to złote góry. Kościuszko jednak temi obietnicami wcale się nie dał ułudzić, bo proroczym duchem przewidywał, iż przebiegły Napoleon wyzyska dzielność Polaków, ale dla nich i dla ich ojczyzny nic dobrego nie zrobi. Co się też wkrótce ziściło: bo przelawszy krew kilkunastu tysięcy polskich dzieci, dostał się nareszcie jako dumna sztuka sam do niewoli.

Otóż właśnie prawie w te same czasy, kiedy przebywał Tadeusz Kościuszko wraz z swoim dawniejszym adjutantem Fiszerem w miasteczku Solurze w Szwajcaryi, przydarzyło się, iż państwo Fiszerowie zaprosili go na herbatę. Kościuszko przybył chętnie, zwłaszcza dlatego, iż tam zawsze zastać można było kilku lub kilkunastu Polaków, którzy pod nim służyli. Wtenczas podszepła mu pani Fiszerowa niby w sekrecie, iż niebawem przybędzie tu bardzo słynna pani francuska, aby poznać tak sławnego bohatera, Kościuszko odrzekł na to: „Nie mam nic przeciw temu, byle tylko nie była głośną pisarką lub zawołaną zalotnicą“. Na to znów powiada pani Fiszerowa: „Czy tak, czy siak, prawdę wyrzec muszę — jest to właśnie pani Steel Holsteinowa, najsławniejsza pisarka w całej Francyi“. Zaledwie posłyszał Kościuszko te słowa, a porwał zaraz za kapelusz i przeprosiwszy grzecznie gospodarstwo, wybiegł nagle, jak gdyby go co goniło, ku pomieszkaniu swemu.

Kościuszko to uczynił nie dlatego, jakoby, jak mu to wielu pisarzy tegoczesnych zarzuca, był nieprzyjacielem kobiet, bo przecież był już zaręczony i miał się żenić i tylko mu sprawy ojczyste nad wszelkie inne przyjemności droższemi były, porzuciwszy tedy zawody miłosne, służył do śmierci wyłącznie krajowi.

Pani Steel Holstein jednak nie dała jeszcze za wygrane i postawiła na swojem, bo próżna jej chełpliwość ciągle ją do tego popychała, aby wyzyskać znajomość Kościuszki. Kiedy się więc dowiedziała, że Kościuszko znów jest u państwa Fiszerów na wieczerzy, wpadła nagle do izby, nie czekając na gospodarzy, sama się przedstawiła panu Tadeuszowi i poczęła się zaraz wypytywać to o ludzi, to o bitwach, to o przeróżnych rzeczach, to o Moskalach, to o Amerykanach i szczebiotała bez ustanku, chcąc się swą uczonością popisać. I tak pokazało się rzeczywiście, iż ta pani wyzyskać tylko p. Tadeusza pragnęła. Ale tenże skłoniwszy się grzecznie, przerwał jej gadaninę, mówiąc: „Proszę łaskawej pani, takich rzeczy ani opowiadać ani opisywać się nie godzi“. I skłoniwszy się jeszcze raz grzecznie, porwał za kapelusz i odszedł do domu.

Jeszcze o jednym małym wypadku, jaki się w życiu ś. p. Tadeusza Kościuszki przydarzył, tutaj wspomnieć muszę, zwłaszcza że może wyjść naszym kochanym włościanom na ich pociechę i naukę, bo im wykaże, że nasze zwierzęta domowe mają zmysł spostrzegania i pamięci.

Kiedy nasz ś. p. przyjaciel ludu Tadeusz Kościuszko przemieszkiwał, jak się już rzekło, w Szwajcaryi, miał ten zwyczaj, iż wyjeżdżał konno wieczorem na świeże powietrze. A że nie był bez grosza, bo mu kraj amerykański za jego zasługi jeneralskie znaczną wypłacał pensyę, to te wszystkie pieniądze, żyjąc sam bardzo skromnie — rozdawał ubogim, których przy swych konnych wycieczkach spotykał po drodze. Otóż koń jego, którego co chwila przy każdym ubogim wstrzymywał, tak sobie to zapamiętał, iż wkrótce bez wstrzymywania uzdy, jak tylko zobaczył ubogiego zdaleka,

zaraz przed nim stawał, aż mu Kościuszko podał jałmużnę. Zdarzało się zaś czasami, iż p. Tadeusz albo nie miał w tej chwili pieniędzy, albo zapomniał sakiewki w domu, koń jego jednak o tem wiedzieć nie mógł i jak zwykle spotkawszy ubogiego po drodze, stanął i nie ruszył z miejsca pierwej, aż zobaczył, że już ubogi dostał jałmużnę. Ale jak tu dać jałmużnę, kiedy Kościuszko nie miał nic przy sobie. Trzeba się zatem wziąść na fortel, aby wiernego konia oszukać. Kościuszko w takim wypadku sięgał do kieszeni i podawał ubogiemu próżną rękę z dodatkiem, iż jutro albo pojutrze dostanie podwójną jałmużnę, bo dzisiaj nic nie ma przy sobie. I tak koń wstawiał się za ubogimi i jemu trzeba było dziękować za otrzymane podwójne jałmużny.

X. W. W.

Wiadomości ze świata.

Z kraju i Monarchii. W kraju naszym wystawa stoi wciąż na pierwszym planie. Świeżo zwiedzili ją bracia z pod rządu pruskiego w Księstwie Poznańskiem. Przyjmowano ich serdecznie we Lwowie, a także po wszystkich prawie stacyach kolejowych, osobno zaś w Krakowie, gdzie się z powrotem zatrzymali dla zwiedzenia pamiątek. Jak słychać, wybierają się na wystawę bracia ze Szląska austryackiego i pruskiego, a również i włościanie z podgórskich okolic. Tu i ówdzie słuchać niestety o wypadkach cholery, która w Królestwie grasuje dość ostro.

Do Krynicy przyjechał niby na kuracyę pop schyzmatycki, a ponieważ miejscowy proboszcz ruski przyjął go na nabożeństwie jakoby katolika, słusznie oburzają się na to wszystkie pisma polskie.

W *Czechach* zamordowanemu rękawicznikowi Mrwie nie dadzą dawniejsi towarzysze jego a potem nieprzejednani nieprzyjaciele spokoju nawet w grobie. Policya w Pradze dowiedziała się oto, że członkowie tajnego stowarzyszenia „Omladina“ noszą się z zamiarem wysadzenia w powietrze grobu, w którym jego zwłoki złożono, i strzeże go dla tego dniem i nocą. O zamordowaniu Mrwy przez Omladistów pisaliśmy w swoim czasie.

O tragicznej śmierci Arcyksięcia Wilhelma donieśliśmy już w przeszłym numerze. Teraz podajemy o zmarłym Arcyksięciu jeszcze następujące szczegóły:

Corocznie przepędzał on letnie miesiące w Baden pod Wiedniem. I w tym roku bawił tam już od kilku tygodni. W niedzielę rano wybrał się konno na spacer. Naraz na widok nadjeżdżającego tramwaju elektrycznego koń spłoszył się i stanął dęba. Arcyksiążę obawiając się, aby koń nie przewalił się w tył wypuścił nogi ze strzemion i chciał zsunąć się po grzbiecie konia na ziemię. Wtem wybiegł lis z pobliskiego lasu, koń spłoszył się powtórnie i dał susa w bok, wlokąc za sobą Arcyksięcia, któremu jedna noga została w strzemieniu. Przez kilkadziesiąt kroków rozhukane zwierzę wlokło tak nieszczęśliwego jeźdźca, którego głowa uderzała o ostre kamienie szutrowanej drogi. Ludzie z pobliskiej restauracyi poskoczyli na pomoc i zatrzymali ostatecznie konia, nieprzytomnego zaś arcyksięcia zaniesiono do pobliskiego domu. Tegoż samego dnia jednak nad wieczorem zakończył on życie.

Arcyksiążę Wilhelm miał lat 67, był synem arcyksięcia Karola, znanego wodza z wojen napoleońskich zwycięzcy pod Aspern. W wojnie z Prusami w r. 1866 dowodził zmarły korpusem w armii Benedeka i w bitwie pod Königgrätzem został ciężko ranny w głowę. Ulubioną jego bronią była artylerya, to też zajmował się nią bardzo gorliwie. Zajmował się także bardzo urządzeniem szpitali polowych. Cesarz przerwał swój letni pobyt w Ischlu i przyjechał we czwartek do Wiednia wziąć udział w pogrzebie. W osobnym rozkazie dziennym do armii zarządził cesarz, aby pułk artyleryi Nr. 2. po wieczne czasy nosił nazwę pułku arcyksięcia Wilhelma.

Włochy. Słychać, że Ojciec św. zamierza wydać encyklikę do wszystkich ludów europejskich, w której ich wezwie, aby poznoszono stałe armie, których utrzymanie rujnuje dobrobyt kraju. W sprawie tej otrzymuje Ojciec św. ze wszystkich stron świata listy z prośbą aby się sprawą tą zajął, aby wezwał wszystkich do pokoju powszechnego. Jedynie we Francyi nie chca o tem słyszeć. Encyklika ma być ogłoszoną za jakie 3 miesiące.

Rząd włoski będzie wysyłał swych anarchistów (rewolucyonistów) także do Brazylii. Będą tam musieli ciężko pracować, a mianowicie karczować lasy pod ścisłym dozorem. Przed kilku dniami wywożono po raz pierwszy anarchistów za granicę, przyczem jeden z nich rzucił się z nożem na dozorcę, ale mu się zamach nie udał.

Włosi zajęli w Afryce miasto Kassali i zamierzają uderzyć na miasto Chartum, leżące przy połączeniu Białego i Niebieskiego Nilu. Przez zajęcie tego miasta byłaby złamaną potega tak zwanych Madystów. Są to Arabowie czystej krwi, którzy uwolnili się od panowania egipskiego. Madi jest to nazwa proroka, który zapowiada muzułmanom zwycięstwo półksiężyca nad krzyżem. Włosi, walcząc przeciw Madystom, spełniają ważne zadanie cywilizacyjne.

Francya. Nowy prezydent francuski otrzymuje dzień w dzień listy od rewolucyonistów (anarchistów) bez podpisu oczywiście, w których mu grożą, że go zgładzą ze świata prędzej czy później. Policya usiłuje nadaremnie wyśledzić sprawców.

I z Francyi wynosi się wielu anarchistów, mianowicie anarchistyczni pisarze i wydawcy gazet, twier

dząc, że nie podobna tam żyć po uchwaleniu osobnej ustawy przeciw anarchistom. Ciekawość, dokąd ci wszyscy anarchiści francuscy i włoscy, opuszczający swoją ojczyznę, się udadzą, i czy ich inne kraje też przyjmą.

Wreszcie skończy się tu proces przeciwko owym masońskim oszustom, którzy się dopuścili tak ogromnych złodziejstw w sprawie tak zwanej panamskiej. Najgłówniejszy oszust, żyd Herz, siedzi wprawdzie wciąż jeszcze w Anglii i udaje chorego, ale już dłużej nie było podobieństwem zwlóczyć procesu, który Francyę okrył taką hańbą. W nieobecności Herza doprowadzono proces do końca. Wyrok na Herza, któremu zarzucają, że wyłudził i wymusił nie mniej jak przeszło 11 milionów franków, zostanie niebawem ogłoszony. Któż wróci jednak łatwowiernym pokradzione miliony, które ufni w uczciwość przedsiębiorstwa poskładali, a które stanowiły częstokroć cały ich majątek?

Szwajcarya zaprowadziła u siebie także, czy raczej obostrzyła prawa przeciwko anarchistom. Na wszelkie przewinienia anarchistyczne wyznaczono surowe kary. Kto będzie wyrabiał naboje wybuchowe w celach zbrodniczych, tego czeka 10 lat więzienia. Gazety, któreby broniły zbrodni anarchistycznych lub wzywały do zamachów, spotka również surowa kara, i to nietylko redaktorów ale wogóle wszystkich, którzy mają styczność z wydawaniem takiej gazety. Był też wielki czas, aby prawa na anarchistów obostrzono, bo mieszka ich tam nie mało, a cieszą się wielką wolnością. Rząd szwajcarski nie chciał się przyłączyć do innych państw, aby wspólnie wystąpić przeciw anarchistom.

Hiszpania. Na wyspach zwanych Filipiny wybuchło powstanie. Krajowcy napadli na oddział hiszpańskiego wojska, a chociaż nie zdołali go pobić, to zadali mu jednak znaczne straty. — Silniejszy oddział hiszpański zaczepił następnie krajowców i odniósł nad nimi zupełne zwycięstwo. 250 krajowców padło w walce. Na tem się pewnie powstanie ukończyło.

Turcya posiada pewną wyspę znaczniejszą, nazwiskiem Kreta, którą zawiaduje osobny gubernator. Ostatniego lipca strzelił ktoś przez okno do pokoju, w którym się właśnie gubernator znajdował i zranił go dość niebezpiecznie w głowę. Z jakich powodów zamach ten wykonano, to dotąd niewiadomo.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa“.

Z pod Kolbuszowskiego Majdanu. Miło jest czytać, że gdzieś ludność wchodzi na drogę poprawy, że pijaństwo ustaje, że ludzie poznawszy nareszcie, co to sprowadza wdawanie się z żydkami, pożyczanie od nich pieniędzy, zaczynają od tych dobrodziejów stronić. Miłoby i nam było donieść wiele dobrego z parafii majdańskiej. Wprawdzie i tu nie ma, a przynajmniej nie widać pijaków, taczających się i wykrzykujących po drogach, zdaje się, że ci, co pokrzepiającego trunku używają, są tyle skromni, że do domu sobie go sprowadzają i cichaczem nim się raczą. Panuje tu chwalebny zwyczaj, że w Zielone Świątki (jeżeli się nie mylę) dzieci z całej parafii (a należy do niej podobno pięć gmin) w kościele majdańskim składają przyrzeczenie, że aż do pewnego wieku nie będą rozpalających napojów używać, ani przyjmować. Wogóle Wielebne Duchowieństwo pełni tu swoje obowiązki ściśle, zajmuje się ludem. Widać to wszędzie, widać i w szkołach w obrębie parafii leżących, w których żadna godzina religii w tygodniu nie jest opuszczoną i spowiedź dzieci w oznaczonym czasie się odbywa, a dzieci młodsze, potrzebujące do tego świętego aktu przygotowania, przez parę tygodni na naukę do kościoła chodzą. Rok szkolny kończy się solennem nabożeństwem, troskliwością Duchowieństwa w jednym dniu dla wszystkich szkół parafii urządzonem, za co tu niech serdeczne dzięki temuż Duchowieństwu niech będą położone.

Majdan, szczycący się tytułem miasta, jest to nora żydowska. Na środku rynku rozsiadła się buda dziurawa, zwana podobno „ratusz“, częścią drahal, częścią urząd propinacyjny, czy jak tam tytuł tej najważniejszej w każdej miejscowości instytucyi, dla której wyrobiła się pewna klasa czyli także cech zarobników, co to żydom wodę noszą, bo świat dawno uznał, że ziemniaki potrzebniejsze są na wódkę niż na to, żeby się biedactwo miało niemi żywić. Pod dachem bieleje tarcza z herbem. Nieraz ja już widziałem na karczmach błyszczące herby, dziwiłem się trochę, ale nie pytałem o ich znaczenie, domyślając się w nich tylko odznaki jakiegoś geszeftu. Ale w Majdanie pytam się: co to jest? Tu sprzedają sól. A to żyd tu ma sprzedaż soli? Wydział — odpowiedziano mi — dał koncesyę pocztmistrzowi, ale ten podzielił się nią z żydem, czy też całkiem ją mu odstąpił.

Domysł łatwy, że od soli zacząwszy wszystko, co człowiek do ust ma nieść, z żydowskich rąk brać trzeba.

Jarmark odbywa się tu 52 razy na rok. Jabym się zapytał, czy to trochę nie za wiele, ale któżby się znowu o przywileje kłócił! Wszak to jest żniwo dla żydów, którzy nie na to są na świecie, żeby pracowali, ale żeby zbierali, ale wobec dzisiejszego równouprawnienia odzywać się przeciw żydowstwu byłoby zacofaniem i grzechem politycznym. Więc raczej trzeba grzecznie się przypatrzyć, jak u wejścia do miasta dwa tęgie, czarne, graniczne slupy z pejsami to się zbliżają do siebie, to oddalają, ciągle szwargocząc, a ręką w górze nadjeżdżających upominają: „pomału!“ — bo niech żeby który chłop minął, a targowego nie zapłacił, byłoby to skrzywdzić naród, którego jest wszystko, co

ziemia ma. Albo nie warte to widzenia, jak po rynku hałatowy jeździec jeden za drugim na chłopskich koniach co najlepszych ugania, harcuje, uwija, że biedne zwierzę oddychać nie może? Indziej znowu widzisz wyroby przemysłu wiejskiego: miotły, koszyki, naczynia drewniane. Właściele tych towarów siedzą obojętni, jak gdyby nie dla spieniężenia tych rzeczy, ale dla zabicia czasu tu przyszli; nie zachęcają wcale przechodniów do kupna, nie proszą się. Przyjdzie żyd, to zakupi wszystko naraz.

— To na żydów pracujecie?

— A cóż to? mnie wszystko jedno, abym pieniądze swoje dostał.

Kobieta się pyta: Co za ten koszyk? — 15 centów. — A na przeszłym jarmarku widzieliśmy, jakeście żydom po 11 centów sprzedali? — Albo wyście huncwot, albo ja huncwot! — wrzeszczy w surdut przebrany przemysłowiec. — Teraz, w lecie? ja wam będę za prętami chodził i do miasta się wlókł i podatek płacił? Kiedy ja pójdę ziemniaki kopać i zarobię 50 centów! — Ktoś drugi wtrąca się do tego i dorzuca: — Ale żydowi sprzedacie po 11 albo nawet po 10 centów? — Ty, pon! a czy ty pon nie przedajesz żydowi, jak ci trzeba? Z chrześcijanem muszę się nakłapać, zanim sprzedam jeden koszyk, a żyd przyjdzie, zapłaci odrazu za wszystko i mam spokój!

Oto miłość chrześcijańska.

Wielu tu takich, co odznaczają się zarozumiałością. Nie wiem, czy może wszędzie teraz tak, ale tutaj dość się to trafia. A zarozumiałość ma to do siebie, że taki człowiek ma rozum dla siebie, a przerobić go nadarmo byś się silił: zostaniesz wyśmiany i odejdziesz jak niepyszny, choćbyś mu nie wiedzieć co dobrego radził. Może innym razem co weselszego napiszę.

NOWINY.

— **Wieliczka.** Z powodu urodzin Najjaśniejszego Pana, Cesarza Franciszka Józefa I., urządza się dnia 19 sierpnia b. r. zwiedzenie sławnych w całym świecie kopalń wielickich, z którego czysty dochód przeznacza się dla tutejszego Towarzystwa gimnastycznego „Sokół“. W tym celu będzie kopalnia rzęsiście oświetloną, a nadto urozmaicą pobyt szan. Publiczności w kopalni ognie sztuczne i jazda piekielna. Biletów wstępu nabyć można wyłącznie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego, Rynek, linia A—B, w restauracyi i kawiarni Piotra Porzyckiego, Rynek, Nr 17, I. piętro w Krakowie, oraz w Wieliczce przy kasie. Cena biletu dla jednej osoby 2 złr. 50 ct. bez zjazdu i wyjazdu machiną parową. Bilety dla jednej osoby ze zjazdem i wyjazdem machiną parową 2 złr. 80 ct. Z przesyłką pocztową o 20 ct. więcej. Wejście i zjazd do kopalni odbywa się o godzinie 1-ej i 2-ej po południu. Cena biletu omnibusem z dworca kolei w Wieliczce do szybu „Rudolfa“ albo z szybu „Rudolfa“ do dworca kolei w Wieliczce 20 ct. — Również odchodzą omnibusy z Wieliczki do Krakowa o godzinie 4-ej, 6-ej, 8 ej i 10-ej wieczorem. Pociąg osobowy odchodzi z Krakowa do Wieliczki o godzinie 12-ej w południe, a z Wieliczki do Krakowa o godzinie 6 ej min. 10 wieczorem. Palenie tytoniu i cygar w kopalni i szybach jest wzbronione. Przewodnik ilustrowany kopalni można nabyć przy zakupnie biletów.

Dr J. Dziewoński, prezes Tow. gimn. „Sokół“.

— **Pielgrzymki do Częstochowy.** Warszawska *Gazeta Polska* donosi: „Z powodu wzmagającej się cholery w guberniach: warszawskiej, kieleckiej, płockiej i radomskiej, główny naczelnik kraju uznał za konieczne wzbronić ze wszystkich gubernij kraju pielgrzymek do Częstochowy, przyczem stósownie do tego zalecono Biskupom rzymsko-katolickim wydać rozporządzenia, ażeby duchowni katoliccy nie udzielali błogosławieństwa na drogę kompaniom pielgrzymów, nie zaopatrywali ich w obrazy święte, krzyże, chorągwie lub inne odznaki kościelne i ażeby wyjaśniali narodowi przyczynę nadmienionego zabronienia, oraz konieczność wstrzymania obecnie pielgrzymek“.

— **Zbiory hr. Milewskiego.** Jedno z pism lwowskich donosi, że hr. Ignacy Milewski, znany miłośnik sztuk pięknych, postanowił swe słynne zbiory, szacowane na parę milionów rubli, przenieść z końcem b. r. na stale do Lwowa i umieścić je w pałacu sztuki.

— **Gimnazyum polskie w Cieszynie.** *Gwiazdka Cieszyńska* donosi, że hojny dar 10.000 złr. Dra Stanisława Hassewicza na cele narodowe na Szląsku austryackim przeznaczony został na „Macierz szkolną“, której najbliższym celem jest założenie polskiego gimnazyum w Cieszynie. Wobec tego spodziewać się można, że w roku 1895 w jesieni otwartą będzie pierwsza klasa polskiego gimnazyum na Szląsku.

— **X. Jan Figwer,** proboszcz z Mikluszowic, były wikaryusz katedralny i kanclerz Konsystorza biskupiego zmarł 1 b. m. w swojej parafii. Cześć jego pamięci

— **Księża duńscy w Poznaniu.** Do Poznania przybył misyonarz z Kopenhagi, X. Ortved, Duńczyk, którego przysłał Biskup duński, celem lepszego poznania języka polskiego, dla skuteczniejszego pasterzowania między ludem naszym, który licznie w Danii za robotą przebywa. X. Ortved sam już trochę po polsku się nauczył. X. Ortved uda się do Gniezna na czas dłuższy, gdzie zamieszka w seminaryum duchownem. Już kilkakrotnie w tym celu użyczył X. Arcybiskup Stablewski gościny kilku księżom z dyecezyi padernborskiej.

— **Śmierć od ukąszenia żmii.** W połowie lipca b. r. poszli sobie trzej chłopcy szkolni na poziomki i grzyby do lasów czarnodunajeckich (powiat nowotarski w Tatrach). Jeden z nich siedmio letni chłopczyna zbierający jagody po kępach tuż w przylasku, nastąpił przypadkowo na żmiję, która też nie przebaczyła nieszczęśliwej dziecinie, ale ostrem żądłem cięła go w nogę w okolicy łydki. Przytomny chłopiec, uczuwszy ukąszenie i spostrzegłszy umykającą w kępę żmiję, krzyknął z przerażenia i wezwał towarzyszących mu kolegów do ratunku. Jeden z nich dziewięcio-letni, odważny i przytomny, nie namyślając się długo, uprosił trzeciego kolegę o pożyczenie skórzanego paska i takowym okręcił mocno nogę zranionego powyżej rany — usiłował wycisnąć jad z miejsca szybko puchniejącego, obłożył zimną, wilgotną gliną, a potem poleciwszy drugiemu

koledze, aby zmieniał glinę i pocieszał biednego rannego, pospieszył do domu jego rodziców, rozumie się o kilka kilometrów od lasu oddalonego. Tymczasem zraniony chłopiec zaczął płakać, stękać i wołać o ratunek, przyczem się rzucał prawie już nieprzytomny. Mały, jeszcze do szkoły nieuczęszczający sąsiad, sądząc swym dziecięcym rozumkiem, że chory chce ulgi, odwiązał pasek i także z płaczem pobiegł do domu. Działo się to koło południa. Zanim odszukano nieszczęśliwego, nadszedł już prawie wieczór. Nieprzytomnego, ciężko zapuchniętego przyniesiono do domu, ale wszelki, rozpaczliwy ratunek, wypalanie rany, okłady, leki nic nie pomogły — nieszczęsny chłopczyna wyzionął nazajutrz ducha wśród okropnych bólów i żalu otaczających go rodziców i owych dwóch towarzyszy, którzy w rozpaczy o ziemię się za kolegą rzucali. Wypadek ten tak wielkie w Czarnym Dunajcu i okolicy zrobił między dziećmi wrażenie, że pastuszkowie zdala omijają kępy i zarośla, wśród których baczną zwracają uwagę na najmniejszy szmer w trawie. I słusznie, bo ostrożności nigdy nie ma za wiele, a przytomność w niebezpieczeństwie i nieszczęściu i zimna rozwaga mogą uchronić od śmierci lub przykrego kalectwa. Przy sposobności podamy rady przeciw ukąszeniom wężów jadowitych i owadów. *W. Bieroński.*

— **Pieszo naokoło świata.** Z Rygi w dniu 27 b. m. wyrusza w podróż naokoło świata piechur, p. Rengarten. P. Rengarten zamierza przejść Europę wschodnią, Azyę środkową, Syberyę, następnie przedostać się okrętem do Ameryki, przejść ją wrzesz do oceanu Atlantyckiego, a przybywszy na ląd europejski, wrócić pieszo do Rygi. Cała podróż ma trwać 3 lata.

Ceny zboża

(z targu na Kleparzu).

Kraków 7 sierpnia.

Płacono: za pszenicę białą od 6 złr. 70 ct. do 7 złr. 10 ct., za czerwoną nową od 6 złr. 70 ct. do 7 złr. — ct., za żółtą nową od 6 złr. 70 ct. do 7 złr. — ct, za żyto nowe od 5 złr. — ct. do 5 złr. 60 ct., za żyto stare od 5 złr. — ct. do 5 złr. 50 ct., za jęczmień browarny od 6 złr. — ct. do 6 złr. 25 ct., na kaszę od 4 złr. 50 ct. do 4 złr. 75 ct., za owies od 5 złr. — ct. do 6 złr. — ct., za rzepak od 9 złr. — ct. do 9 złr. 50 ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
12	*Nied. 13 po Św.* Klary, Hilaryi i Fel.	4	27	7	—
13	Pon. Hipolita m i Kassyana.	4	28	6	59
14	Wt. *Wigilia.* Euzebiusza m.	4	29	6	58
15	Śr. *Wniebowzięcie N. Maryi P.*	4	31	6	56
16	Cz. Rocha wyznawcy.	4	32	6	54
17	Piąt. Anastazego b. i Mirona m.	4	34	6	52
18	Sob. Heleny Szwedz. męcz.	4	35	6	50

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:
Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką".

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.